

Dariusz Pawlicki

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem

Ginie się albo co najmniej nijakże bez miłości do miejsc zakreślonych wąskim rzekomo horyzontem...

Gustaw Herling-Grudziński,
Dziennik pisany nocą

Od pewnego czasu chodził mi po głowie pomysł, aby pokonać pieszo pewną trasę. Nie była to jednak jakaś obsesja. Ot, zamierzenie czekające spokojnie na realizację.

Droga, o której wspominam znajduje się w zakątku, który znam bardzo dobrze. Nigdy nią jednak nie jechałem, ani nie szedłem. Tak jakoś się złożyło. Była mi jednak znana z opowieści. Wiązały się z nią pewne wspomnienia rodzinne, dotyczące przede wszystkim odległych czasów. Przebiegowi tej drogi wielokrotnie przyglądałem się na planach i mapach. I niewiele mniej razy pokonywałem ją w myślach. Z tym, że wyobrażałem sobie, że czynię to wiosną, latem, w pełni jesieni; ale nie zimą. Nigdy też nie byłem obarczony, oczywiście wyimaginowanym, większym bagażem.

Kiedy wysiadłem z autobusu na przystanku w Krasnopolu, tylko trzy dni dzieliły mnie od Wigilii Bożego Narodzenia. Były 2-3 stopnie poniżej zera. Z zachmurzonego nieba śnieg jednak nie padał. Ziemia była nim zresztą tylko trochę przyprószona. Ale najistotniejsze było to, że miałem ze sobą dwie torby naramienne. Z tym, że o ile jedna zaskłgiwała w pełni na miano lekkiej, to druga była, niestety, wagi średniej.

Odtwarzając teraz na papierze tamten grudniowy dzień, widzę, jak przechodzę wzdłuż frontonu kościoła. Pomyślałem wówczas, że w 1909 r. został w nim ochrzczony mój Dziadek Ignacy Herbst. Ale nie tylko on, jeśli chodzi o moich przodków. A teraz, gdy piszę te słowa, wspominam o nich, choć nie znam bądź już nie pamiętam ich imion i nazwisk. Czynię to także dlatego, że oni... żyją dopóty, dopóki pisze się, myśli, mówi o nich. Opuścili nasz świat, świat żywych, ale wiodą życie im właściwe...

Drogowskaz, na którym było napisane: Żłobin, upewnił mnie, co do właściwie obranego kierunku. Stosunkowo wąską drogą asfaltową ruszyłem w kierunku południowym. Przeszedłem wzdłuż muru z kamieni otaczającego cmentarz parafialny. A po przejściu jeszcze kilkudziesięciu metrów ujrzałem w znacznej odległości, usytuowany pośród pól, stary cmentarz. On także był obwiedziony kamiennym murem. Coś przecież trzeba było zrobić z kamieniami polnymi ustawicznie znajdowanymi na polach. Gdy tymczasem prawie wszystkie budynki i ogrodzenia je otaczające, wznoszono z drewna. Choć faktem jest, że w Krasnopolu, który od 1782 do, bodajże, 1852 roku posiadał prawa miejskie,

niektóre fragmenty uliczek wyłożono kocimi łbami.

Przyglądając się staremu cmentarzowi, obiecywałem rychłą na nim wizytę związaną z poszukiwaniem mogił moich antenatów. I wtedy, tak jak i teraz, zadałem sobie pytanie: dlaczego powszechnie mówi się, że ktoś został pochowany na takim to, a takim cmentarzu? A dlaczego nie stwierdza się, że spoczęło na nim jego ciało? Gdyby twierdzili to ateści, byłoby to dla mnie zrozumiałe. Bo dla nich człowiek to tylko ciało. Ale dlaczego to samo stwierdzenie pada powszechnie z ust osób wierzących (mam na myśli w tym momencie chrześcijan)? Będąc przekonanymi, że na człowieka składa się ciało i dusza, winni przecież mówić, że w mogile znajduje się tylko to pierwsze, bo to drugie...

Co pewien czas przekładałem torby na ramionach. Tak, aby to obciążone mniejszym ciężarem, mogło nieco odpocząć.

Widziałem nieliczne zabudowania. Nie było w tym absolutnie nic dziwnego. Albowiem tę krainę cechuje m. in. nieduże, jak na Europę, zaludnienie. Świadczyło o tym i to, że minęła mnie tylko osoba na rowerze i samochód. A jeśli chodzi o ów pojazd dwuśladowy, wiedziałem, że wystarczyłoby, abym pomachał, żeby się zatrzymał. Wtedy drogę, którą miałem przed sobą, a przynajmniej jej część, nie musiałbym pokonywać pieszo. Nie uczyniłem jednak tego. Chciałem, jak wspomniałem na wstępie, przejść dla własnej przyjemności tych 11 kilometrów. Bez udowadniania czegośkolwiek sobie, jak i komukolwiek innemu.

Claudio Magris w przedmowie do *Podróży bez końca* odnotował:

Podróżować nie po to, aby dotrzeć do celu, lecz aby dojechać jak najpóźniej, aby nie dojechać – o ile to możliwe – nigdy.

Nie podzielałem wówczas, gdy szedłem, nie podzielał i teraz, gdy piszę te słowa, w całości poglądu Magrisa. Jak najbardziej pragnąłem dotrzeć do celu – po to wyruszyłem. Lecz faktem jest, że nie śpieszyłem się. Chciałem przedłużyć odczuwanie zadowolenia związanego z tym, że mogę ponownie patrzeć na tak mi bliski krajobraz. Ten zaś był nie tylko zbiorem elementów przyrodniczych, lecz zawierał w sobie także wspomnienia, opowieści, których część związana była ze mną. Chciałem też przedłużyć oczekiwanie na znalezienie się u celu, o którym myślenie było przyjemnością.

Minąłem tablicę z napisem: Żłobin. Potem przeszedłem nad przepustem, przez który płynie Pawłówka, niewielka rzeczka zmierzająca do pobliskiego jeziora Gremzdy.

Domów nadal widziałem niewiele. A ludzi jeszcze mniej. W tym względzie nic się nie zmieniało. Pola były poroździelane zagajni-

kami i niewielkimi kompleksami leśnymi, z których część rosła na bagnach.

Rzecz jasna pamiętałem, że z drogi, którą szedłem korzystali moi przodkowie, gdy udawali się do kościoła krasnopolskiego (parafia w Karolinie powstała w 1921 roku); niekiedy furmanką, ale najczęściej na własnych nogach. A do przejścia mieli, licząc także powrót, 22-24 kilometry. Ta różnica w odległości zależała od tego, gdzie mieszkali.

Droga nie zmieniła swego przebiegu. Także wiek temu, za Żłobinem, szerokim łukiem skręcała na prawo, kierując się ku Głuszynowi. Z tym, że obecni mieszkańcy tej wsi, o rozrzuconej zabudowie, z nielicznymi wyjątkami, nie są potomkami tych, którzy spoglądali na moich przodków, gdy ci, piaszczysto-żwirową drogą kierowali się ku Krasnopolowi bądź z niego wracali. W 1940 roku, na podstawie porozumienia Ribbentrop-Mołotowa, rosyjskojęzyczni staroobrzędowcy* zostali bowiem przesiedleni do Związku Radzieckiego. Po 1945 roku powróciły tylko dwie rodziny.

Przy okazji wspomniania o Głuszynie i jego mieszkańcach, przytoczę nst. wypowiedź:

Nie wyobrażam sobie, żebym miał ochotę pojechać do Chin, Indii czy Japonii.

Myślę, że to byłoby daremne, że nic się z tego nie zrozumie. Europejczyk musiałby poświęcić życie, aby poznać religie, obyczaje, zasadę etyczną tamtego świata, jego historię i literaturę. Ja nie jestem ich ciekawy.

Te słowa napisał Paweł Hertz w *O podróży*. Ale myśl tę, co najwyżej innymi słowami, mógłbym zapisać także ja. Bo taki sam mam pogląd na swoisty imperatyw podróżowania do odległych krajów, jaki współcześnie silnie daje o sobie znać. Z których to podróży, najczęściej krótkich, przywozi się zdjęcia i zapamiętane, ale powoli zacierające się, obrazy i spostrzeżenia nie powiązane ze sobą. A tymczasem świat wokół nas, ten najbliższy, tylko pozornie znany, czeka na dogłębniejsze poznanie. Przytoczyłem tę wypowiedź Herta, aby było nas przynajmniej dwóch. Bo reprezentujemy pogląd, który nie należy do popularnych.

Niedaleko przed tablicą z napisem: Głuszyn, urywa się asfalt. I dalej droga jest taka, jaką była od początku. W upalne dni unoszą się nad nią tumany kurzu, gdy przejeżdżają samochody. Jeszcze niedawno wznicały go konie i ciągnięte przez nie furmanki.

Miałem nadzieję, że idąc przez początkowy fragment Głuszyna zobaczę, choćby, część rozległego jeziora Gremzdy. A w pewnym miejscu dzielił mnie od jego wschodniego brzegu niecały kilometr. Skryte było jednak za pagórkami.